

Osiemnastowieczny Londyn, Ameryka z czasów polowania
na czarownice i młoda alchemiczka, która zamierza pokonać szatana.

GRAHAM MASTERTON



ALBATROS

Prolog

W wielkanocny poranek, po długim i bolesnym porodzie, Beatrice powiła dziewczynkę. Kiedy wreszcie usłyszała jej płacz, poczuła się tak, jakby pozbyła się ciężkiego kamienia i za sprawą cudu powróciła do życia.

– Jest piękna – powiedziała pani Rust, podsuwając jej noworodka. – Ma ciemne włoski jak ty. Ale oczy chyba ma po ojcu, nie sądzisz?

– Postaraj się uciąć pępowinę krótko – wtrąciła pani Kettle. – Nie chcemy, żeby wyrosła z niej ladacznica!

Beatrice podciągnęła się nieco, aby usiąść. Włosy miała mokre od potu, a w ustach jej zaschło. Poranne słońce oślepiało ją, więc tłum przyjaciółek i sąsiadek zgromadzonych w jej sypialni zdawał się jej teatrem cieni. Siedem z nich siedziało przy niej przez całą noc, karmiąc ją pożywnym ciastem, pojąc piwem i pocieszając, gdy ból stawał się nie do zniesienia. Teraz trąkotały, śmiały się i podawały sobie niemowlę z rąk do rąk.

Pani Rust usiadła na łóżku obok Beatrice i poprawiła poduszki.

– Na pewno będzie miała szczęśliwy żywot – powiedziała cicho. – Wiesz, co mówią? Że łzy bólesci zraszają ogród szczęścia.

– Zachowałam dla ciebie łóżysko – odezwała się pani Greene. – Zaniosę do kuchni, żeby Mary je wysuszyła.

– Dziękuję – odparła z uśmiechem Beatrice.

– No, a teraz się połóż – powiedziała pani Rust. – Posprzątam tutaj i będziesz mogła się przespać.

– Ale daj mi ją jeszcze potrzymać – upomniła się Beatrice. Podano noworodka pani Rust, a ta włożyła go w ramiona Bei.

Dziewczynka miała teraz zamknięte oczka, chociaż Beatrice dostrzegła, że pod powiekami szybko porusza gałkami, jakby już jej się coś śniło.

Czubkiem palca dotknęła koniuszka jej noska.

– Kim jesteś, moje maleństwo? – wyszeptała.

Rozdział 1

W Boże Narodzenie, kiedy wracała wczesnym rankiem z kościoła, na progu natrafili na klęczącą dziewczynkę przypominającą aniołka.

Jej głowę okalała kanciasta, lodowa aureola, a na plecach zebrała się cienka warstwa szronu, tworząc coś na kształt białych złożonych skrzydeł. Miała otwarte mlecznobłękitne oczy i lekko rozchylone usta, jakby za chwilę miała zacząć śpiewać.

Ojciec Beatrice stał, przyglądając się dziewczynce przez chwilę, a potem wyciągnął rękę i delikatnie dotknął jej ramienia.

– Zamarznięta na kość – stwierdził. – Idź do domu, Beo. Cofnę się po zakrystiana.

Beatrice zawahała się, a śnieg padał bezgłośnie na jej czepek i pelerynę. Już wcześniej widziała na ulicach martwe dzieci, ale dziewczynka znaleziona w zaułku, którym na skróty zmierzali do domu, wprawiała ją w większy smutek. Było Boże Narodzenie, rozbrzmiewały kościelne dzwony, słyszała śmiech i śpiewy ludzi, którzy szli ulicą Giltspur z powrotem do swych domów, ognisk i rodzin.

Poza tym dziewczynka była taka piękna, chociaż bardzo blada i wychudzona, a Beatrice wyobrażała sobie, jakie to szczęśliwe życie mogło ją czekać.

– Idź, Beo – powtórzył ojciec. – Już nikt nic więcej nie może dla niej zrobić, poza modlitwą.

Rozdział 2

Tego popołudnia, podczas obiadu, ojciec powiedział:

– Zastanawiam się, czy kiedykolwiek będzie możliwe, żeby zachować ukochane osoby po ich śmierci dokładnie takimi, jakimi były za życia?

– Clemencie, co ci chodzi po głowie? – obruszyła się jej matka, nakładając mu buraki na talerz.

– No, na przykład ta biedna dziewczynka, którą rano znaleźliśmy z Beą. Oczywiście, była tylko zamrożona, więc jej wnętrzności długo nie wytrzymają. Ale gdyby tak można było zamienić ludzi w kamień albo w drewno? Wtedy można by ich zachować na zawsze.

– Oj, Clemencie, co to za pomysł! Nie wyobrażam sobie, żeby drewniany posąg mojej matki siedział z nami przy stole! Chybabym oszalała!

Ojciec uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Tak... Tak, być może masz rację. Ale można by to zrobić z jakimś zwierzątkiem. Z psem albo kotem. Wtedy dzieciak mógłby się bawić nim w nieskończoność.

Beatrice odłożyła łyżkę.

– Co ci jest, Beo? – spytała ją matka. – Nie jesteś głodna?

– Nie mogę przestać myśleć o tej dziewczynce – powiedziała Beatrice. – Gdyby tylko ktoś dał jej coś do zjedzenia i pozwolił ogrzać się przy ogniu.

– Nie zamartwiaj się. Jest teraz w niebie i Pan Jezus się nią zaopiekuje.

Beatrice nic już nie odpowiedziała. Nie chciała przeciwstawiać się matce. Choć miała dopiero osiem i pół roku i nigdy nie ośmieliła się myśleć inaczej niż rodzice, nie mogła przestać zastanawiać się nad tym, czy niebo istnieje naprawdę, czy to tylko zmyślona historyjka, żeby ludzie nie smucili się tak bardzo utratą najbliższych. A może, kiedy zamarzniesz na śmierć, jest ci już zawsze zimno?

Rozdział 3

– Chodź tu, Beo! – zawołał ojciec, stając w drzwiach kuchni, oświetlony od tyłu promieniami słonecznymi. – Pokażę ci coś wspaniałego!

– Och, proszę, Clemencie! – zaprotestowała mama. – Ma teraz jeść śniadanie!

– To nie potrwa długo – przekonywał ją. Oczy mu się rozświeciły i uśmiechnął się, jak zawsze, gdy udał mu się eksperyment.

– To samo mówiłeś, kiedy zrobiłeś ten tak zwany wulkan – sprzeciwiła się matka. – „To nie potrwa długo”, i biedna dziewczyna wróciła po dwóch godzinach, cuchnąc siarką, jakby poszła do piekła i z powrotem!

Zakaszłała, jakby samo wspomnienie podrażniło jej gardło.

– Teraz to będzie tylko pięć minut – obiecywał ojciec. – Przysięgam, na życie mojej drogiej matki.

– Clemencie, bardzo dobrze wiesz, że nie cierpiełaś swojej matki, a poza tym ona zmarła przed laty.

Jednak Beatrice sama zakończyła ten spór, odsuwając krzesło i przechodząc przez kuchnię, żeby wziąć tatę za rękę.

– Co to takiego, tatusiu? Zrobiłeś błyskawicę?

– Nie, nie. Jeszcze nie wychodzi mi z tą błyskawicą. Zrobię ją, na pewno, ale teraz to coś innego! Chodź i sama zobacz.

Beatrice spojrzała błagalnym wzrokiem na matkę, a ta po

chwili machnęła ręką.

– W takim razie idź... – Westchnęła. – Ale tylko na pięć minut, bo owsianka ci wystygnie!

Beatrice wyszła z ojcem przez spiżarnię i trzymając się za ręce, przemierzili otoczony wysokim murem ogród z ziołami. Na schludnych grządkach rósł piołun, fenkuły, lawenda, rozmaryn i marchewnik anyżowy. Był ciepły letni poranek, a rośliny pachniały tak mocno, że dziewczynka kichnęła.

– Na zdrowie! – zawołał tata. A potem, spoglądając na nią z góry, dodał o wiele ciszej: – Na zdrowie.

Weszli do pobielonej przybudówki znajdującej się na tyłach domu. To tutaj ojciec ucierał wszystkie zioła i korzenie dla klientów, przygotowywał lecznicze mikstury, i tutaj także pracował nad tym, co nazywał swoimi „tajemnicami”. Było tu chłodno i ciemno, ponieważ okna były małe i brudne. Na trzech ścianach wisiały półki zastawione fiolkami i butelkami aptecznymi pełnymi różowych, zielonych i żółtych substancji oraz porcelanowe słoje na przyprawy z napisami: imbir, galangal, szafran, pieprz, goździki, cynamon i gałka muszkatołowa. Poza tym mocno tu pachniało, ale nie tak aromatycznie jak w ziołowym ogrodzie; tu zapach był ostry i piżmowy. Czując go, Bea zawsze wyobrażała sobie dalekie kraje, gdzie mężczyźni noszą turbany, a kobiety mają zasłonięte twarze, i wszyscy latają na dywanach, jak w *Baśniach z tysiąca i jednej nocy*.

– Nie uwierzysz, jak zobaczysz, Beo – powiedział ojciec, prowadząc ją do warsztatu na końcu pokoju. Błat zastawiony był garnkami i patelniami, świecznikami i przeróżnymi szklanymi retortami. Na samym środku stał miedziany pojemnik w kształcie łódki, przypominający raczej garnek do ryb, do połowy wypełniony kleistym żółtym olejem.

Obok pojemnika ojciec Beatrice rozłożył brązową

bawelnianą szmatkę, pod którą najwyraźniej coś było schowane, bo była na środku wybrzuszona.

– Pamiętasz Gwiazdkę, kiedy znaleźliśmy tę biedną zamarzniętą dziewczynkę w Zaułku Dzwonnika, a ja mówiłem o przemianie zwierząt w drewno, żeby prawdziwe zwierzątko mogło stać się zabawką?

Beatrice skinęła głową, szeroko otwierając oczy. Nie odzywała się, ponieważ wszystko, co jej tata robił, zawsze ją dziwiło. Kiedyś powiększył kroplę wody i wyświetlił jej obraz na ścianie, żeby pokazać wszystkie maciupenkie stworzonka, które roily się w środku. Innym razem zrobił tak, że z palców leciały mu iskry, jakby był czarownikiem. Potrafił sprawić, że płyny zmieniały się z zielonych w fioletowe i na powrót w zielone, a żelazne opiłki pęzły po kartce jak pająki, gasił też zapalone świece, nawet ich nie dotykając. Spowodował nawet, że martwa żaba zeskoczyła ze stołu na podłogę.

Teraz chwycił za jeden róg szmatki.

– Zobaczysz teraz cud nauki, o którym człowiek marzył od stuleci! Nawet najwięksi alchemicy ze starożytnego Egiptu nie potrafili tego dokonać!

Beatrice nie mogła powstrzymać śmiechu. Tata zwykle był bardzo poważny i nie okazywał emocji, a kiedy rozmawiał z klientami, twarz zawsze miał ponurą. Był przystojny, o nieco lisich rysach, a przedwcześnie posiwiałe włosy zaczesywał do tyłu. Zazwyczaj ubierał się elegancko, ale tego ranka miał na sobie samą koszulę, nawet bez przypiętego kołnierzyka.

– Daję ci... Drewnianego szczura! – wykrzyknął i zerwał szmatkę.

Na stole stał wielki pręgowany szczur i oczami czarnymi jak paciorki wpatrywał się w Beatrice. Dziewczynka wrzasnęła i odskoczyła, podnosząc fartuszek do twarzy. Preraźliwie bała się szczurów. Zaledwie przed dwoma

tygodniami, kiedy poszła w odwiedziny do swojej koleżanki Lucy, która mieszkała przy Cock Lane, usłyszały, że jej mały brat Rufus płacze. Pobiegly do pokoju dziecinnego i zobaczyły, że wielki szary szczur wspiął się do łóżeczka i gryzł go w twarz.

– Nie bój się! Ten nie robi ci krzywdy! – To powiedziawszy, ojciec podniósł szczura i uderzył nim o kant stołu. Rozległo się stuknięcie, jakby gryzoń był wyrzeźbiony z kawałka mahoni.

Beatrice nadal trzymała się z daleka.

– Wygląda jak prawdziwy – wyszeptała. – Ma futro i wasy, i prawdziwe zęby!

– Jest całkiem prawdziwy, moja kochana! Sam go złapałem w beczce na deszczówkę w ogrodzie!

– To co z nim zrobiłeś? Jak go zamieniłeś w drewno?

– Aha! Najpierw go uspiłem, wkładając do szklanego flakonu i odsysając całe powietrze, żeby nie mógł więcej oddychać. Potem, kiedy już nie żył, delikatnie podgrzewałem jego ciało przez dwa dni w lnianym oleju. Następnie wyjąłem go z oleju, umyłem i osuszyłem, i zostawiłem do ostygnięcia. I oto jest! Całkiem nieszkodliwy, zabawka, a nie szkodnik!

– To okropne – stwierdziła Beatrice. – Nie chciałbym się nim bawić!

– Świetnie cię rozumiem, przecież to szczur. Wybrałem go do mojego pierwszego eksperymentu, bo jest obrzydliwy. Ale można też zamienić kotki, szczeniaki albo króliczki w drewniane zabawki, i będą milusie.

– Nie, nie będą! Jak możesz tak mówić? Kotki, szczeniaczki i króliczki? To by było okrutne!

Ojciec wyglądał na zaskoczonego.

– Robiłbym tak tylko z niechcianymi i bezdomnymi zwierzątkami, Beo. Inaczej, co by się z nimi stało? Albo zginęłyby z głodu, albo zawiązano by je w worku i wrzucono

do rzeki. U nas przynajmniej odeszłyby bezboleśnie, a potem jeszcze całymi latami dawałyby przyjemność i radość dzieciom, które by je dostały. Proszę – powiedział ojciec, podsuwając jej szczura. – Dotknij go, pogłaszcz. Nie ugryzie cię.

Beatrice niechętnie szturchnęła szczura czubkiem palca. Był zupełnie twardy, a jego sierść była ostra i szorstka, jak ryżowa szczotka.

– To okropne – upierała się.

– Hm, tak, może i tak. To w końcu szczur. Ale wygląda dokładnie tak jak za życia... Dokładnie... I to kolejne wykorzystanie tej metody. Taksydermia.

Dziewczynka pokręciła głową, żeby pokazać ojcu, że nie wie, co to takiego jest taksydermia. W końcu miała tylko dwanaście lat.

– Taksydermia to wypychanie martwych zwierząt i pokazywanie ich. Wiesz, jak głowy jeleni, papugi, ryby w szklanych gablotach.

– Ach, tak – odpowiedziała Beatrice. – Przed Shepard's Coffee House stoi wypchany chart angielski. Zawsze się go bałam. Myślałam, że może nagle ożyć i mnie pogonić.

Ojciec uśmiechnął się.

– Tak... Ale przyznasz, że ten chart wygląda dziwacznie, co? Cały pokrzywiony, z haczykowatym ogonem i głupawym uśmiechem. To dlatego, że do uzyskania naturalnego kształtu i cech martwego zwierzęcia potrzeba ogromnych umiejętności i wiedzy anatomicznej, a niewielu taksydermistów je posiada. Za to dzięki tej metodzie – uniósł stwardniałego szczura – dowolne stworzenie będzie wyglądało dokładnie tak, jakby żyło i oddychało.

Przerwał, a potem dodał:

– Może kiedyś ktoś zrobi coś podobnego z ludźmi. Wiesz, gdy straci się kogoś ukochanego...

– Tato! – oburzyła się Beatrice.

– Nie, oczywiście, że nie – rzekł ojciec. – Tylko taka myśl mi przyszła do głowy. – Odwracał szczura na różne strony, a potem odłożył go na stół. – Naprawdę ci się nie podoba? Myślałem, że go polubisz.

Beatrice zdecydowanie pokręciła głową.

– Cóż, jesteś bardziej podobna do matki niż do mnie – zdecydował ojciec. Objął ją ramieniem i pocałował w głowę.
– Twoja mama nie skrzywdziłaby nawet muchy.

Wyszli na dwór, do ogrodu z ziołami, a ojciec zamknął domek na klucz. Kiedy byli już przed kuchennymi drzwiami, znowu usłyszeli kaszel mamy, tym razem bardziej uporczywy. Weszli do środka i zastali ją przy zlewie, o który się opierała i wycierała usta chusteczką.

– Nancy, ten kaszel wygląda na gorszy – powiedział Clement.

Matka szybko splukała płwocinę.

– Nic mi nie jest. To jest to letnie przeziębienie. Wiesz, jakie mam słabe płuca. Beo, możesz już sięść do śniadania? Co tata chciał ci pokazać?

– Szczura zamienionego w drewno. Był wstrętny.

– Prawdziwego szczura?

Beatrice usiadła przy stole, a mama przyniosła jej miskę owsianki.

– Bea nie zainteresowała się nim specjalnie – dodał ojciec. – Ale znajdę sposób, żeby ludzie konserwowali żywe stworzenia dokładnie takimi, jakimi są za życia, na zawsze.

– Czy to w ogóle możliwe? – spytała Nancy. – Nie wiedziałam, że coś takiego może przetrwać na zawsze.

Clement stał w drzwiach, nic nie mówiąc, tylko patrząc na żonę zatroskanym wzrokiem. Beatrice zerknęła na niego znad miski z owsianką, nie rozumiejąc skąd ten niepokój w jego oczach.

– Muszę się do końca ubrać, moja droga – powiedział po chwili. – I otworzyć sklep. Zanim się obejrzę, klienci będą walić do drzwi.

– Zrobię ci herbaty – odparła Nancy i zakaszła, raz, a potem jeszcze raz.

*

Wczesnie rano Beatrice zbudził kaszel mamy. Przez ścianę słyszała, jak ojciec z nią rozmawia i jak skrzypi łóżko; a potem zapaliło się światło na korytarzu, bo schodził na dół, żeby przynieść jej wody.

Beatrice wstała i cichutko przeszła pod sypialnię rodziców. Mama siedziała na łóżku wsparta na poduszkach. Była śmiertelnie blada i przyciskała chusteczkę do ust. Najwyraźniej chciała coś powiedzieć, ale wtedy znowu zaczęła kaszleć. Beatrice obeszła łóżko i cierpliwie czekała, aż kaszel ustanie.

– Nie podchodź do mnie zbyt blisko, Beo – powiedziała mama, ocierając usta. – Nie chcę, żebyś zaraziła się, cokolwiek mi dolega.

Chociaż mama zmięła chusteczkę w dłoni, dziewczynka zdążyła zauważyć, że jest poplamiona na różowo.

– Mamo, powinnam sprowadzić lekarza.

– Nie ma takiej potrzeby. Twój tata przygotowuje dla mnie miksturę, która złagodzi kaszel.

Znowu zakaszła, i tym razem chusteczka zrobiła się czerwona od krwi.

– Tato! – zawołała przerażona Beatrice. – Tato!

Usłyszała, jak ojciec wbiega po schodach. Wpadł do sypialni w długiej, białej koszuli nocnej i delikatnie odsunął córkę na bok, żeby usiąść na łóżku obok żony. Nancy znowu zaczęła kaszleć, obryzgując koszulę plamkami krwi.

– Beo, proszę, przynieś mi ścierkę – polecił ojciec. – Jakąkolwiek. Znajdziesz jakieś w dolnej szufladzie.

Odsunęła szufladę i wyjęła małą, płócienną ściereczkę; tata rozłożył ją jednym potrząśnięciem i podał mamie. Nancy znowu kasłała, zasłaniając ścierką usta, ale więcej krwi już nie poleciało, tylko zaróżowiona plwocina. Ojciec przytrzymał ją za ramiona, gdy na siedząco walczyła o oddech, a jej pierś unosiła się i opadała z ostrym rżeniem.

– Jak się teraz czujesz? – zapytał po chwili, a ona skinęła głową, chociaż oczami omiatała pokój, jakby nie zrozumiała, co tu robi.

Odwrócił się do Beatrice i powiedział:

– Na stole w kuchni stoi kubek wody i zielona butelka. Możesz je tu przynieść? I łyżkę.

Kiedy wróciła, niosąc to, o co prosił, ojciec pomógł mamie napić się wody. Potem podał jej dwie łyżki szmaragdowego lekarstwa, które sam przygotował.

– Proszę, moja kochana. Czyściec i miodunka z odrobiną miodu. Powinny zmniejszyć wydzielinę z płuc. A teraz spróbuj się przespać. Rano powinnaś poczuć się lepiej.

Pomógł jej się położyć i przewrócić na bok. Bładożółty koc naciągnął jej pod szyję. W sypialni było ciepło i duszno, ale ona drżała i pociła się, szczękając zębami.

Ojciec zabrał Beatrice do jej pokoju.

– Mamie jest dużo gorzej – powiedziała dziewczynka zmartwiona, spoglądając przez korytarz na matkę w łóżku. – Dzisiaj rano powiedziała, że to tylko przeziębienie. Dlaczego pluje krwią?

– Zdaje się, że ma suchoty – odpowiedział ojciec. – Módlmy się, żeby to nie było to, ale zobaczymy, jak się poczuje za kilka godzin. Lekarstwo, które jej dałem, powinno pomóc.

– Będziemy musieli zabrać ją do szpitala?

– Do Świętego Tomasza? – spytał ojciec. – Nie. Mogę ją leczyć w domu, tak samo jak wszyscy lekarze w tym szambie. Ale zanim położysz się spać, Beo, poproś Pana Boga, aby miał ją w opiece i żeby wyzdrowiała, dobrze?

Beatrice pokiwała głową i przytuliła się do taty. Jego broda połaskotała ją w policzek i przypomniał jej się szczur z najeżoną sierścią; pomyślała wtedy o tym, co mówił ojciec o konserwowaniu ludzi. Widziała, jak mama wpatruje się w świeczkę przy łóżku – jej piękna matka z ciemnymi lokami leżącymi na poduszce. Odsunęła od siebie myśl o tym, że mogłaby ją stracić i o tym, co się stanie, jeżeli umrze.

Usłyszeli znowu kaszel mamy, więc tata, pocałowawszy córkę w czoło, wrócił do sypialni, zamykając za sobą drzwi.

Długo nie mogła zasnąć i leżała z otwartymi oczami. Trudno jej było się modlić, gdy mama nieustannie kaszłała, a co dopiero zasnąć. Kiedy w końcu zapadła w sen, śniła jej się, że weszła do salonu, gdzie zastała mamę siedzącą przy oknie z tamborkiem do haftowania. Gdy zaczęła do niej podchodzić, zauważyła, że igła jest wbita, ale dłonie mamy się nie poruszają.

– Mamo! – usłyszała własny, przytłumiony głos. – Mamo!

Lecz mama nie odpowiadała, ani nawet nie podniosła oczu. Zanim Beatrice znalazła się na środku salonu, uświadomiła sobie, że mama nie żyje, a tata zamienił ją w drewno.

*

Pewnego ranka trzy tygodnie później Beatrice obudziła się, a w domu panowała cisza.

Przez wiele dni i nocy jej mama kaszłała prawie nieustannie, ale teraz najwyraźniej przestała. Na zewnątrz było ciepło i wietrznie. Widziała, jak papiery przelatują

przed jej oknem i przez całą ulicę Giltspur, docierały do niej przytłumione pokrzykiwania handlarzy zmieszane z hurgotem kół wózków podskakujących na kocich łbach. W domu jednak było duszno i cicho.

Wstała i przeszła do pokoju rodziców. Zobaczyła ojca klęczącego koło łóżka, miał pochyloną głowę i trzymał dłoń matki, która leżała nieruchomo z zamkniętymi oczami. Nie oddychała.

– Tato? – wyszeptała Beatrice.

Odwrócił się do niej. Nigdy nie widziała u nikogo tak zbolącej twarzy.

– Beo, mama jest teraz u Boga – powiedział. – Od teraz jesteśmy tylko ty i ja, i nikt się nami nie zajmie, tylko my sami.

Rozdział 4

Dzień pogrzebu Nancy Bannister był ciepły, ale ponury, z powodu nisko wiszących szarych chmur. Przed nabożeństwem ciało wystawiono w salonie, przykryte białym, wełnianym całunem, z głową wspartą na białej wełnianej poduszce, jak wymagała tego ustawa o pochówku w wełnie.

Beatrice podeszła do trumny, trzymając ojca za rękę. Tata bez słowa uniósł chustę, która przykrywała twarz mamy. Beatrice zasłoniła dłonią usta. Nie mogła uwierzyć, że ta postać to jej matka. Twarz miała koloru kości słoniowej, a oczy wyglądały jak dwa głębokie i czarne kałamarze.

– Nie denerwuj się, Beo – uspokajał ją ojciec. – Teraz mama jest w niebie, śmieje się i weseli. To tylko ciało, które przynosiło jej cierpienie.

Trumnę zabrano z salonu i wyniesiono na ulicę, gdzie czekał karawan, do którego zaprzęgnięto dwa kare konie, by zabrać ją w krótką drogę do kościoła pod wezwaniem Świętego Jakuba przy Clerkenwell Close. Wyruszył milczący kondukt prowadzony przez młodego, łysiejącego pastora i karawaniarza z pióropuszem strusich piór kiwającym się na głowie. Czuć było nadciągający deszcz.

W kościele łysiejący pastor wysokim, śpiewnym głosem wymienił cnoty Nancy jako żony i matki, a następnie polecił jej duszę Bogu. Echo zwiłokrotniło jego głos, więc

odnosiło się wrażenie, jakby przemawiało trzech pastorów jednocześnie. Dzwon wybił sześć razy, co było zwyczajową liczbą dla kobiet. Potem trumnę z ciałem Nancy przeniesiono do krypty, by dołączyła do ponad dwustu innych parafian Świętego Jakuba śpiących wspólnie w ciemnościach.

Dopiero gdy żałobnicy wrócili do domu, lunął deszcz i spływał po szybach jak łzy. Siostry Nancy, Jane i Felicity, podały herbatę i ciasto cyrulkowe, a Clement poczęstował wszystkich portem. Dłoń mu drżała, a twarz tak mu zszarzała z żalu, że sam wyglądał na chorego.

– Teraz ty zostaniesz panią domu, Beatrice – powiedziała ciotka Felicity. – Zdaje się, że koniec z nauką u pani Tutchin.

– Absolutnie! – zaprzeczył Clement. – Bea nadal będzie pobierała lekcje, tak jak do tej pory.

– Ależ, Clemencie! Jakże zamierzasz dać radę? Nie obraż się, ale nie wyglądasz zbyt zdrowo! Nie chcę tu wracać na Boże Narodzenie na kolejny pogrzeb!

Clement pokręcił głową.

– Każdej młodej dziewczynie potrzebny jest francuski, matematyka i logika, jak również gotowanie i robótki ręczne. Ale Bea będzie mi też pomagać w pracy. Zawsze wykazywała wielkie zainteresowanie mieszaniem leków, już odkąd była na tyle duża, by utrzymać łyżkę. Woląta to od pieczenia ciasteczek. Pewnego dnia, zważcie moje słowa, będzie w Londynie pierwszą i najbardziej uznaną kobietą aptekarzem.

– Kobiętą aptekarzem? Nie wyobrażam sobie, aby to było do przyjęcia! Zwłaszcza że Bea jest taka młoda i ładna! Ilu dżentelmenów będzie czuło się swobodnie w towarzystwie aptekarki... Szczególnie jeśli będzie im doskwierać coś wstydliwego?

– Wątpię, czy będzie ich mniej niż tych, którzy codziennie proszą mnie o emulsję kalomelową. Widzicie, jakoś nigdy to

nie jest dla nich. Zawsze „dla przyjaciela”.

– Emulsja kalomelowa? – odezwała się Beatrice. – To na chorobę francuską, tak, tato?

– Och! Jestem zaszokowana! – wykrzyknęła ciotka Felicity, wyrzucając w górę ręce obleczone w czarne rękawiczki. – To dziewczę nie ma więcej niż dwanaście lat. Co ona wie o tej przypadłości?

– Tak naprawdę to za trzy tygodnie skończę trzynaście lat – odpowiedziała spokojnie Beatrice. – A tata nigdy nie robił tajemnic z chorób ani z informacji, gdzie ich się ludzie nabawiali.

Clement objął córkę ramieniem i czule przytulił. Kiedy jednak spojrzał na nią i uśmiechnął się, zobaczyła w jego oczach więcej bólu niż nadziei, i wiedziała, jak bardzo cierpi.

*

Kiedy lato ustąpiło jesieni, a potem zimie, Beatrice starała się nie opuszczać lekcji w szkole pani Tutchin i uczestniczyć w nich codziennie. Pani Tutchin młoda blondynka, chuda niemalże jak szkielet, była żoną bankiera. Nie miała własnych dzieci, więc cały czas poświęcała dziewięciu dziewczętom, ucząc je manier i obycia, potocznego francuskiego oraz arytmetyki. Pokazywała również, jak przyszywać guziki i haftować, a także jak upiec tradycyjny chleb na smalcu z rodzynkami.

Beatrice uwielbiała tę szkołę, ponieważ pani Tutchin była tak łagodna, miała miły głos i pachniała wodą różaną. Była cierpliwa wobec wszystkich dziewcząt, ale szczególnie względy okazywała Beatrice, ponieważ wiedziała, jak bardzo brakuje jej matki. Czasami, kiedy Bea pochylała się nad robótką, stawiała za nią i delikatnie kładła kościste dłonie na jej ramieniu, jakby zapewniała ją, że matka wciąż

jej pilnuje.

Jednak z tygodnia na tydzień coraz trudniej było Beatrice znaleźć czas na lekcje, chociaż dom pani Tutchin stał przy Snow Hill, zaledwie o trzy przecznice od Giltspur. Teraz, kiedy zrobiło się chłodniej i wcześniej zapadał zmrok, jej ojciec był coraz bardziej przygnębiony i roztargniony. Zaczął też pić – początkowo tylko po południu, do obiadu, ale potem wypijał kieliszek jałowcówki przed otwarciem sklepu i kolejne w ciągu dnia, z brązowej butelki, którą trzymał schowaną pod ladą. Prawie co wieczór zasypiał w fotelu przed dogasającym powoli ogniem i co noc słyszała, jak gramolił się po schodach, kiedy ogień zamienił się w popiół, a on budził się, dygocząc z zimna.

Prawie każdego ranka musiała go budzić, ponieważ kiedy przychodziła pora otwarcia sklepu, jeszcze chrapał mocno, zawinięty w koce, ubraniu z wczorajszego dnia, cuchnący przetrawionym alkoholem.

Z trudem otwierał zalepione oczy i wpatrywał się w nią, jakby nie wiedział, kim jest. Potem siadał i chrypiał:

– Przepraszam... Przepraszam, Beo. To już się więcej nie powtórzy, przysięgam na Boga.

Czasami umyty i przebrany schodził na dół, aby zjeść z nią śniadanie. Był wtedy prawie taki sam jak dawniej... Zwłaszcza jeżeli podawała kleik owsiany z masłem i winem. Jednak w takie dni było zbyt późno, aby iść do pani Tutchin, a i ojciec namawiał ją, aby została w domu i pomogła mu przygotować lekarstwa, bo miał stos recept do zrealizowania i całą rzeszę pacjentów, którzy zaczęli już tracić cierpliwość.

– Bóg mnie pobłogosławił taką zdolną córką – powtarzał niemal codziennie, całując ją w głowę. – Gdyby tylko twoja mama mogła cię dzisiaj zobaczyć!

Beatrice zakładała sztywny płócienny czepek, długi

fartuch z tego samego materiału, a na to jeszcze gruby wełniany płaszcz, ponieważ przybudówkę ogrzewał jedynie mały piecyk na drewno. Potem cały poranek spędzała samotnie, robiąc pigułki, proszki, emulsje i przeróżne syropy według receptur z notesów ojca z pozaginanymi rogami.

Niektóre mikstury wymagały wielu godzin pracy. Jednym z najpopularniejszych lekarstw Clementa Bannistera było mithridatium, antidotum na przeróżne zatrucia, ukąszenia zwierząt, leczące nawet dżumę. Zawierało ponad pięćdziesiąt składników, które Beatrice musiała dokładnie odmierzyć – w tym opium, kardamon, olibanum, szafran, imbir, anyż, pietruszkę i sok akacjowy. Wszystkie te ingrediencje trzeba było dokładnie utrzeć z miodem. Równie popularny, choć o wiele droższy, był teriak, zwany też driakwią, na który składało się sześćdziesiąt składników – korzenie, zioła, różne rodzaje pieprzu, a nawet bitumin i organy zwierząt.

Poza tymi dwoma medykamentami Beatrice musiała przyrządzać płyn do płukania jamy ustnej z suszonych płatków nagietków i przymiotna, stosowany jako lek na chroniczny ból zębów. Na krwotoki z nosa mieszała żywokost i babkę, czasami dodając krwawnik.

Za każdym razem, gdy poczuła duszącą woń liści krwawnika, przychodziła jej na myśl piosenka, którą śpiewała mama, gdy kładła ją spać. Mówiła, że jeśli zawinie liście krwawnika w chusteczkę, to kiedy obudzi się rano, będzie wiedzieć, za kogo wyjdzie za mąż.

*Żeniszku śliczny tyśiqlistny,
Krwawnikiem wszystkim znany.
Kto będzie moim mężem,
Zdradź no mi czym prędzej!*

Nieomal słyszała czysty, wysoki głos matki i z wielkim

trudem akceptowała fakt, że matka leży teraz w krypcie kościoła Świętego Jakuba martwa, zimna, sama pośród ciemności.

Jedną z najlepiej sprzedających się mikstur ojca była patentowana odżywka do włosów Bannistera, ale Bea nie lubiła jej przygotowywać, ponieważ miała zapach starego łoju. Trzeba było zagotować liście ostrzenia z odrobiną oleju i soli, a potem uformować z nich kompres, używając słoniny, którą musiała kupić na znajdującym się niedaleko Smithfield Market. Łysiejący klient miał nałożyć sobie ten kompres na głowę na noc, przykryć gorącym ręcznikiem i zmyć rano.

Nie lubiła także przygotowywać kalomelowej emulsji, ponieważ zawarta w niej rtęć brudziła jej palce. Emulsja podobno leczyła chorobę francuską, zwaną też kiłą, ale Bea widziała, jak wyglądały osoby, które długo jej używały. Dziaśła im gnily i przypominały surowe mięso, wypadały wszystkie zęby, psuły się też szczęki, więc ci ludzie z trudem otwierali usta, żeby coś powiedzieć.

Mimo to nadal przychodzili do apteki i niewyraźnie błagali ojca o więcej, bo wydawało im się, że użyli jej zbyt mało.

*

W ostatni poniedziałek kończącego się roku Beatrice formowała właśnie długi walec, z którego miała później wykroić tabletki, kiedy Clement otworzył drzwi do domku z takim hukiem, że aż podskoczyła. Wszedł niepewnie do środka, wpuszczając podmuch lodowatego powietrza. Za jego plecami gęsty śnieg padał szybko i bezgłośnie, przykrywając białą pierzynką ogródek z ziołami. Płatki śniegu topniały szybko na brodzie i włosach Clementa.

– Beo, kochana! – wykrzyknął. – Dlaczego nie jesteś u

pani Tuu-czi-in?

– Tato... Drzwi! Zimno leci!

– Co? Ach, tak, przepraszam! Nie mogę przecież córki przeziębici na śmierć! Mojej kochanej córeczki danej od Boga!

Podszedł do stołu i stanął obok niej, lekko się kołysząc.

– Tato, znowu piłeś. Mam nadzieję, że zamknąłeś sklep.

– Co? Sklep? Tak, tak, zamknąłem! Zamknąłem na klucz! Zamknąłem szczelnie jak beczkę!

– Może lepiej pójdziemy do domu. Chciałam ci zrobić baraninę na obiad, z gotowanymi ziemniakami i marchewką. Ale możesz zjeść chleb z serem, jak wolisz...

Beatrice podniosła się, ale Clement położył dłoń na jej ramieniu i delikatnie przytrzymał.

– Co robisz? – spytał i zmarszczył brwi, przyglądając się wałeczкови suchej, białej pasty, który toczyła na niebieskim kafelku z Delft, gotowa była właśnie go pociąć.

– Tabletki na wzdęcia, o które prosiłeś. Mówiłeś, że to pilne, bo skończył ci się zapas.

Clement pochylił się i powąchał substancję.

– Ach, tak. Mięta, fenkuł i anyż, gwarantowany sposób na najbardziej wybuchowy żołądek. Dobra dziewczyna. Cudowne dziecko. Ale możesz teraz to przerwać.

– Myślałam, że ci się spieszy?

Przekrzywił głowę z boku na bok, jakby zeszywniał mu kark.

– Nie jesteś u pani Czu-czin.

– Nie, tato. Nie pamiętasz? Chciałeś, abym została i zrobiła te tabletki na wzdęcia i syrop na płuca.

– Tak? Hm, nawet jeśli chciałem, to nie musisz. Już więcej nie. Możesz teraz przestać. Możesz odłożyć tłuczek i zrobimy coś o wiele zabawniejszego. Coś, co nas roześmieszy i przestaniemy się smucić.

Zamilkł i rozbieganym wzrokiem długo spoglądał na stół. Potem odwrócił się do Beatrice i powiedział:

– Tak bardzo jestem zmęczony płaczem, Beo. Nie chcę już więcej płakać. Byłem w sklepie i weszła ta kobieta. Wiesz która? Zawsze ubiera się na zielono. Weszła do sklepu i poprosiła o coś na melancholię. Chciałem jej zaproponować mój wyciąg z ogórecznika, kiedy mnie zatkało, jakbym miał kolce w gardle, i łzy zaczęły mi płynąć po policzkach. Była skonsternowana, a ja nie mogłem się powstrzymać. Płakałem na jej oczach. Pomyślałem: ta kobieta pyta mnie, jak wyleczyć melancholię? Mnie? Kiedy mnie samego wykańcza tęsknota za twoją matką. Wykańcza, to dziwne słowo, prawda, wykańcza? Wykańcza, wykańcza, wykańcza! Ale tak właśnie jest.

– Tato... – próbowała wtrącić Beatrice, ale ojciec mówił dalej, jakby jej nie usłyszał.

– Ta kobieta powiedziała, że jej mąż niedawno umarł, a ona cierpi na głęboką depresję. I wiesz, co jej powiedziałem? Powiedziałem jej prawdę. Powiedziałem, że nie ma na to lekarstwa. Powiedziałem, że może wypić dziennie nawet trzy butelki mojej mikstury z ogórecznika, aż twarz zrobi jej się zielona jak ten płaszcz i czepek. Ale nie ma lekarstwa. Nie na śmierć, Beo. Nie na śmierć.

Beatrice ujęła jego dłonie.

– Tato, powinieneś iść do domu i coś zjeść. Masz takie zimne ręce! Jeśli chcesz, zrobię ci gorącą czekoladę.

– Czekoladę? – powtórzył. – A co da czekolada? – Przyjrzał się bacznie Beatrice i dodał: – Dlaczego nie jesteś u pani Czu-czin?

– Potrzebowałeś mnie tutaj, tato. Teraz wróć do domu.

– Zabawmy się! – wykrzyknął głośno, jak konferansjer zwracający się do publiczności zgromadzonej w teatrze.
– Dzisiaj zrobmy błyskawicę! I dym, który zmienia

kolor! Dym! I ogień! Dzisiaj podrzyjmy papier na tysiące kawałków i sprawmy, że wzlecą jak płatki śniegu podczas burzy! Roztopmy cynę. Zróbmy eksplozje tak głośne, że ogłuchniemy na cały tydzień! Ale będziemy się śmiać! I tańczyć! I będziemy tak weseli jak nigdy dotąd!

Nadal trzymając Beatrice za ręce, podskoczył ciężko i powoli, kiwając głową i podśpiewując niemelodyjnie.

– Tato, musisz coś zjeść – powtórzyła Beatrice, uwalniając ręce. – Chodź do domu.

– Ach – powiedział Clement – przypomniałem sobie, dlaczego tu przyszedłem! Skończył mi się gin. Musisz iść do Fortune i kupić mi butelkę!

– Tato, naprawdę nie możesz więcej pić! Wypiłeś już dzisiaj dosyć.

Clement znowu otworzył drzwi i wyszedł na mróz. Cisza była wszechogarniająca. Śnieg nie tylko wygłuszał odgłos kół wozów, ale też przegnał ulicznych handlarzy z ich trąbkami i grzechotkami; zatrzymał w domach nie tylko ludzi, ale i zwierzęta. Londyn był jak ze snu.

– Beo – odezwał się ponownie ojciec. – Nie obędę się bez niego. W sklepie jest śmiertelnie zimno, a ja mam całą przepoconą koszulę i ręce mi się trzęsą tak mocno, że zupełnie nie mogę odmierzać proszków. Proszę, kochana. Wiem, że nie powinienem, i obiecuję, że jutro zacznę nowe życie i nie wypiję ani kropli.

Beatrice zgasiła ozdobną mosiężną lampę, której używała do podgrzewania opium.

– Mówisz to codziennie, tato, ale nie dotrzymujesz słowa.

– Wiem, moja najukochańsza. Wiem, że obiecuję. Ale jutro już nie wypiję, i już nigdy więcej. Dzisiaj jednak, proszę, idź do Fortune i przynieś mi jeszcze butelkę. Masz...

– Pogrzebał w kieszeni i wydobył sześciopensówkę. – Właściwie możesz mi przynieść dwie butelki, żebyś nie

musiała chodzić później.

– Tato... – zaoponowała, ale on nadal stał w otwartych drzwiach i wpatrywał się w padający śnieg.

– Nie chcę cię więcej prosić, Beo. Nie zmuszaj mnie, abym błagał. Jeśli tego dla mnie nie zrobisz, boję się, że umrę.

Beatrice wyszła na zewnątrz i zamknęła drzwi przybudówki. Ojciec wyciągnął klucz, ale ręce mu się trzęsły tak bardzo, że nie był w stanie wsadzić go do zamka. Beatrice zabrała mu go, przekręciła i oddała.

– Nie mów mi, że zesłał mnie Bóg – upomniała go, gdy już chciał otworzyć usta. – Jeżeli pójdę kpić więcej ginu, to raczej zostałam przysłana przez diabła.

– Beo, jesteś moim aniołem. Wiesz o tym, prawda? Moim aniołem i moim zbawcą. I jesteś taka podobna do swojej matki. Mogłabyś być nią, zmartwychwstałą, powstałą z grobu.

Beatrice miała ochotę upomnieć go, żeby tak nie mówił, ponieważ smuciło ją ciągle przypominanie o śmierci mamy i przerażała myśl o jej zmartwychwstaniu. Miewała koszmary, w których matka zjawiała się nagle w drzwiach jej sypialni, i wyglądała tak samo jak wtedy, gdy leżała w trumnie w salonie, z ciemnymi, pustymi oczyma i dłońmi pomarszczonymi jak zamszowe rękawiczki, które pozostawiono na deszczu.

Pomogła ojcu wejść do domu. Wtoczył się do salonu i padł ciężko na fotel blisko kominka, dygocząc. Węgłe na palenisku nadal się żarzyły, więc Beatrice poruszyła je pogrzebaczem i dosypała jeszcze trochę z kosza.

Uklękła i dmuchała w ogień, aż między węgielkami pojawiły się małe języki ognia.

– Co? – Ojciec otworzył oczy i zapytał: – Nie byłaś jeszcze w Fortune? Zostaw ten ogień.

Beatrice nie zwracała na niego uwagi. Ojciec wpatrywał

się w nią z narastającą desperacją, kurczowo wbijając palce w fotel, jakby się bał, że z niego wypadnie, ale Bea czekała i nie spuszczała oczu z kominka, aż ogień mocno się rozpałił i zaczął przyjemnie trzaskać. Wtedy, bez słowa, wyszła do holu, zdjęła gruby brązowy płaszcz i założyła czepek.

– Beo! – zawołał ojciec, gdy otwierała frontowe drzwi.

Nie odwróciła się, ale powiedziała wyraźnie:

– Zaraz wrócę, tato, obiecuję. – I wyszła na ulicę.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).